



Krainy przejściowe.¹⁾

Położenie geograficzne jakiegokolwiek punktu na powierzchni ziemi może być rozpatrywane dwojako: pod względem położenia naturalnego albo fizyograficznego i pod względem położenia kulturalnego. Pierwsze jest wypadkową stosunków danego punktu do otaczających go granic (naturalnych) lub fizyograficznych, drugie zaś wyraża stosunek do granic kulturalnych. Współrzędne kulturalne różnią się zwykle od fizyograficznych.

Europa może być podzieloną na dwie wielkie naturalne, odrębne części: na Europę Zachodnią i Wschodnią. Pomiędzy temi czę-

ściami przechodzą następujące linie graniczne: Po pierwsze, dosyć prosta linia,²⁾ stanowiąca dalszy ciąg wschodniego brzegu Bałtyku; idzie ona od Gdańska mniej więcej przez dział wód koło Weisskirchen, przez

Wiedeń do Istrii, i wzdłuż Adryatyku do morza Śródziemnego. Na tej granicy kończy się wązki półwysep Europy. Półwysep ten we Francji i w Niemczech nie o wiele szerszy jest nad 500 km. O tyle odległe są od siebie wybrzeża północne i południowe. Od Gdańska i




ŚWIRONEK W ZAOSIU.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Tryjestu rozbiegają się jednak te dwa wybrzeża daleko od siebie. Biegają one równocześnie ku północy i południowi, a po-

¹⁾ Patrz Nr. 2, str. 23.

²⁾ Morfologiczna.



wierzchnia ziemi, zawarta między niemi, gwałtownie wzrasta.

Nie jesteśmy atoli jeszcze na właściwym kadłubie Europy, który zaczyna się dopiero na dość prostej linii pomiędzy ujściem Wisły a ujściem Dniepru. Na wschód rozciąga się płaski i bezkształtnie olbrzymi kadłub, na zachód leży Europa Zachodnia, mocno rozczłonkowana tak w kierunku poziomym jak i pionowym. Pomiędzy temi dwiema liniami granicznymi, które oddzielają Europę czysto wschodnią od zachodniej, leży obszar, który zaostza się ku północy u ujścia Wisły,¹⁾ na południe zaś zbiega się kończasto w Grecyi. Jest to właściwa Europa przejściowa,²⁾ pod względem fizyograficznym — kraina pograniczna między Europą Zachodnią a Wschodnią.

Kraina ta jest o wiele mniej otwartą od Europy Zachodniej, mniej podlega wszelkim stamtąd idącym wpływom — pod względem prądów powietrznych, flory, ras i stosunków handlowych. Z drugiej strony — rzeźba jej jest typowo zachodnio-europejska. Karpaty, Kras i Bałkany na południu, nizina polska zaś na północy, przedstawiają strukturę wprowadzie zawilszą, lecz zasadniczo podobną do krain zachodnich. Rzeźba zachodnio-europejska z jednej strony, a wschodnio-europejski klimat i życie organiczne — z drugiej, pokrywają się tu i wzajemnie krzyżują.

Naturalnem jest więc, iż prądy powietrzne, przepływające nad Europą Zachodnią, kończą się na „linii pierwszej“,³⁾ tam gdzie się kończy obszar, pokrajany od brzegów przez morze. Tylko w transgresjach wciskają się te prądy po za Europę Zachodnią, sięgając — co najwyżej, do „linii drugiej“⁴⁾. Czysto oceaniczny klimat kończy się na linii Gdańsk-Wiedeń-Tryjest, zaś czysto kontynentalny rozpoczyna się mniej więcej na linii Wisła — ujście Dniestru. Pomiędzy liniami temi występuje bardzo urozmaicony klimat

przejściowy, przystosowany do rzeźby geologicznej.

Podobne stosunki zauważyć można i pod względem geograficzno - florystycznym. Na linii pierwszej leży granica stepów kontynentalnych, owej strefy największej kontynentalności.

Stepy graniczą półwyspami i wyspami z krainą lesistą. Kresowe wyspy stepowe leżą na Węgrzech; podnóża zaś Alp były najdaleszą granicą zachodnią wszystkich wędrowek kontynentalnych roślinnych i ludzkich z wnętrza Azji, o ile te ruchy doprowadziły do stałego osiedlenia lub panowania. Na niemiecko-polskim obszarze zastępują oczywiście przejścia miejsce ostrych granic.

Aby przejść odrazu do rozpatrzenia rozszedlenia się ludzkości, należy stwierdzić, że już w czasie przedhistorycznym daleko idące rozczłonkowanie Europy wywołało podział białej rasy europejskiej na wiele szczepów językowych. Celtowie, Germanie i Słowianie występują tylko w Europie. Tu na gruncie Europy oni powstali, jedni na Zachodzie, inni w obszarze środkowym, jeszcze inni na Wschodzie. Szczepy te wzajemnie się silnie przesuwają, mieszały i posuwały naprzód. Zróżniczkowanie ich przypisać należy przestrzennemu składowi lądu europejskiego. Żaden chaos niestałych składników szczepowych nie jest w stanie ukryć tych zasadniczych linii fizyograficznych. Ten podział Europy na 3 części jest stałą naturalną podstawą, do której nawiązać należy rozwój zróżniczkowanych kultur. Jest to spuścizna czasów przedhistorycznych na rzecz historycznego rozwoju ludzkości.


Zróżniczkowanie kulturalne jest w porównaniu z rzeźbą fizyograficzną najmłodszym dziecięciem życia organicznego na ziemi. Licząc lat 1500, nie wytrzymuje ono porównania z wiekiem rozwoju naturalnego (geologicznego). A jednak i w zamęcie dziejów historycznych można rozpoznać stałe linie przestrzenne i prawa jednolite. Najważniejszą ze wszystkich linią i najostrzejszą linią kulturalną Europy wogóle jest granica językowa germańsko i romańsko-słowiańska, t. j. granica pomiędzy Niemcami a Włochami z jednej strony, a Sło-

¹⁾ Linie wspomniane nie zgadzają się zupełnie z właściwościami morfologicznymi, są raczej geometryczne niż naturalne.

²⁾ Do niej więc należałaby Polska, Węgry i kraje Bałkańskie.

³⁾ Gdańsk-Tryjest.

⁴⁾ Gdańsk-Odessa.



wianami i Madiarami — z drugiej linia ta zbiega się, na ogół biorąc, z wewnętrzną granicą fizyograficzną Europy Zachodniej. Przeciągnięta ona jest od niemieckiej krainy Krzyżackiej u zatoki Bałtyku ku Istrii, i wykazuje nawet w szczegółach tę samą wielką zgodność obrazu kulturalnego i fizyograficznego, jaka występuje wogóle na obszarze Europy. Wzdłuż trzech linii najmniejszego oporu fizyograficznego dla ruchu kulturalnego (historycznego): 1) wzdłuż wybrzeży morskich, 2) zatoki śląskiej i 3) niziny naddunajskiej powtórzyły się półwyspy ludów zachodnio-europejskich, a wielkie zapory fizyograficzne, jak np. góry Czeskie, zachowały słowiański charakter „półwyspu“ Czeskiego.

O ile tutaj proces dziejowy znajdował się pod przeważnym wpływem stosunków fizyograficznych, poucza nas dobitnie historia pogranicza niemiecko-słowiańskiego.

Druga ważna rozpatrywana tu linia stanowi granicę słowiańsko-madiarskich ludów od strony Rosyi. Jest to linia, która odgranicza mniej lub więcej ostro Polaków, Rusinów i Rumunów od narodu rosyjskiego. Na wschód od tej linii rozpościera się największa w Europie jednorodność narodowa, na zachód—strefa największej różnorodności narodowościowej. Każdy większy a zamknięty w sobie krajobraz zawiera tu już nie część jakiegoś narodu, ale naród kulturalny o własnym języku. Granica wschodnia słowiańskich narodów drobnych i granica zachodnia narodu rosyjskiego zgadza się dość dobrze z wewnętrzną granicą fizyograficzną Europy Wschodniej. Tak tedy nawet wschodni kres, ku któremu biegną wszystkie silniejsze ruchy z Zachodu, jest wyraźną granicą kulturalną, a cała Europa przejściowa w znaczeniu fizyograficznym jest pograniczem kulturalnym w znaczeniu historycznym.

Kiedy i jak obszar ten powstał, trwał i dziś rozwija się, jest mniej dla nas jasnym. Podobnież ciemnym w przyczynach i skutkach jest dla nas poniekąd powstanie barjery z drobnych ludów, ciągnącej się poprzecznie po przez Europę. Najłatwiej orientuje w tej masie siedziba Madiarów. Zamieszkują oni ostatnią kontynentalną wyspę stepową, węgierski niż. Utkwili w zamkniętej sieci osadniczej kulturalnej granicy Europy Zachodniej około roku 1000 po Chr. i oznaczają ślepy koniec drogi stepowej z Azji do Europy w ten sposób, iż utworzyli przejście z koczownictwa do wyższej kultury osiadłej.

Na północ i na południe od nich zrosły się północne i południowe słowiańskie szczepy w narody, lub też znajdują się w toku kulturalnego złączenia. Dzieje się to z Czechami, których stosunek do Słowaków po dziś dzień jest niejasnym, tak też i u zupełnie kulturalnych Polaków i u Rusinów, którzy sami nie rozwiązali sprawy narodowej swej samoistności. Na południe Słoweńcy, Chorwaci i Serbowie, którzy dziś dopiero poczynają się jednoczyć, Rumuni, którzy posiadają wyraźne granice, i Bułgarzy. Procesy tworzenia się tych narodów sięgają wraz z okupacją ziemi i powstaniem języka przeważnie dalej wstecz po za rok tysięczny. Nie wszystkie osiągnęły materyalną i polityczną samodzielność: odbywała się tu intensywna zmiana kulturalnych państw pogranicznych. Narody największe i najlepiej położone, jak Polacy i Madiarzy, oczywiście zwyciężyły i ujarzmiły narody inne, nim same nie zostały pokonane przez państwa wschodnie lub zachodnie. Jako rzecz ważną należy podnieść, iż równoległe z granicą językową wytworzyła się na pograniczu wschodnim średniowiecznego państwa niemieckiego polityczna granica kulturalna, która przez długie wieki nieznacznie tylko się wahała.

Pg. d-ra Erwina Hanslika podał

(d. n.)

dr. Ludomir Sawicki.



DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



5. Pałac w Podzamczu.

O 3 wiorsty od ujścia Okrzejki do Wisły leżą w pow. garwolińskim, a dawnej ziemi stężyckiej słynne w dziejach naszych Maciejowice. Za miastem na wzgórzach, ciągnących się wzdłuż pod-

Phot. K. Kulwici.

morek doliny, znajduje się wśród pięknego i obszernego parku pałac zwany Podzamcze i należący obecnie do Andrzeja hrabiego Zamoyskiego. Pomimo kul, wmurowanych w jego ścianę frontową, nie jest on już tym samym zamkiem w którym dnia 10-go października 1794 roku nocował przed bitwą Kościuszko, a który w 1808 roku został zburzony. W pierwszej połowie XIX wieku dobra były w ręku Stanisława Zamoyskiego, prezesa senatu Królestwa Kongresowego, który tu założył wzorową szkołę dla parobków. Po jego zgonie przeszły w ręce najmłodszego z jego siedmiu synów, również Stanisława, po którym z kolei odziedziczył Podzamcze obecny właściciel. Obok pałacyku stoi lipa, pod którą podług tradycji miał obiadować Kościuszko. W Podzamczu znajdują się znane szkółki drzew leśnych, parkowych i pokojowych.



Pieśniarze Przyrody Polskiej.

2)

Zobowiązania te zaszczepił sobie Mickiewicz wglądaniem i wsłuchiowaniem się serdecznem w przyrodę ojczystą od dziecka, tak, że niewielu do prawdy poetów europejskich z wyjątkiem Goethego porównać się może z nim w znajomości przyrodniczej i krajoznawczej tego, co jest natchnieniem wieszczą narodowego. Podstawą tej jego ekspertyzy jest poczciwe, szlacheckie wychowanie i wykształcenie, żywot-dzieciństwo „sielskie anielskie“ na wsi litewskiej, co jest „jak zdrowie“ moralne i fizyczne—no i ta

*„wieść gminna, ta arka przymierza
między starymi i młodymi la'ly –
w której lud składa broń swego rycerza,
swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty“.*

Dzięki słuchaniu jej od kolebki Mickiewicz posiada nawet najdrobniejsze szczegóły tajemnic łąki, pola, czy boru. Wie naprzykład

„że grzyby krasnolice, tyle w pieśniach litewskich sławione lisice, są godłem panieństwa, bo czerw ich nie zjada i dziwna, żaden owad na nich nie usiada“, że „chmura z gradem, jak balon, szybko z wiatrem leci, krągła, ciemno błękitna, w środku żółto świeci“,

*że „orlik, jedną szponę gdy wbije w zającą drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepi, a zając, targnąwszy się, orla wpół rozszczępi“,
że „niedźwiedz, gdy zjadłszy zęby, strawy nieprzeżuwa, jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa, zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie, kruk, kiedy posiwieje, sokół, gdy osłepnie, orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi, że zamknięty na wieki już gardła nie żywi, idą na cmentarz..... kędy bliźcy śmierci ptaki składają pióra, czworonogi sierci“.*

Na kilkadziesiąt lat przed słynnym dzisiaj dzieki swej „Księdze Puszczy“ Rudyardem Kiplin-

giem i naszym piewą „Boh-boru“ Adolfem Dygasińskim, którzy oprócz własnych natchnień wieszczych mogli mieć już poważne prace biologów i badaczy społeczeństw zwierzęcych i ich instyktowych organizacyi—poważne studia nad dziewictwem pra-lasu, on już wie i wierzy z ust ludu litewskiego, że

„słysząc, że tam w stolicy (boru) między zwierzętami
dobre są obyczaje, bo rządzą się sami,
jeszcze cywilizacyą ludzką nie popsuci
nie znają praw własności, która świat nam klóci,
nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki,
jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,
nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,
toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
one by nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia,
ojce ich pierwsze, co się w Ogrójcu gnieździły,
patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu“.

To jest owa wieść mistyczna z tego świata pochodzenia ducha na ziemi, którą rozwinięta szerzej, ale słabiej z ludzkiego punktu odczuta, znajdujemy również u Kiplinga w drugim tomie jego Księgi puszcy, gdy opowiada dziwną legendę o pochodzeniu śmierci.

Dżungla himalajska i puszcza litewska jednakiem przemówiły językiem do dwóch tak dalekich urodzeniem, tak obcych wychowaniem i pochodzeniem tęsknot—pisarzy, lecz pierwszy z nich ukochał tylko zimny i sztywny panteizm (wielobóstwo) przyrody Hindusów, drugi cierpiał z ludem i narodem, czuł i kochał za miliony i to jego wgłębianie się serdeczne w psychologię przyrody jest prostym skutkiem czucia wieszczego w tył i naprzód w wieczność na miliony „tygodni kroków“ proroczych. Wieszcz tylko prawdziwy może widzieć tam tę „śmierć i trwogę“, które bronią przystępu człowiekowi do tych ostępów życia, gdzie jest takie samo życie, „jak żyły ojce w raju“, a do widzenia czego mrą dziś w tęsknocie bezdennej wszyscy anarchiści ducha. Jeszcze nie ulano w marzeniach ludzkich spiżu na Zachodzie Europy na Hauptmanowskie „Dzwony zatopione“, nie zdążył jeszcze tam żaden poeta rozkochać się w Ruszałce-przyrodzie, gdy z dwunastostrunnej liry złotej naszego wieszca popłynęła nam słodka, przedziwna gęźdba ballady „Świtez“,

„co jasne rozprzestrzenia łona
w wielkiego kształcie obwodu—
gęstą po bokach puszczą oczernioną,
a gładką—jak szyba lodu“.

Bóg przez usta córy Tuhanowej opowiada „dzieje tej cudnej topieli“, z której dochodzi i „dzwonów gwałt i zbroi chrzęsty“, a która skryła przed rzezią i zhańbieniem dziewiczej „cnoty niewinnej obrazy“:

„Widzisz to ziele dokoła, to są małżonki i córki
[Świtez],
które Bóg przemienił w ziola. Białawem kwieciami, jak
[białe motylki],
unoszą się nad topielą, liść ich zielony—jak jodłowe
[szpilki],
kiedy je śniegi pobielą“.

Bo gdzież jest—zaiste—bezpieczniejszy i wdzięczniejszy białej, niepokalanej cnotie przytułek przed sromem i hańbą, jak nie na łonie tej przyrody-matki „gdzie już śmiertelne nie tkną jej dłonie?“... I oto jakby dla pokazania nam, jakby dla podkreślenia tego, że niema nic trwalszego nad to schronienie cnoty, przedstawił nam bezkres i wieczność:

„Jeżeli (do Świtez) nocną przybliżysz się dołą
[i zwrócisz ku wodom lice,
gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą i dwa
[obaczysz księżycy.
Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy pod
[niebo idzie równina,
czyli też niebo swoje szklane stropy aż do nóg
[twoich ugina;
gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga, dna nie
[odróżnia od szczytu,
zdajesz się wisieć w środku niebokręga—w jakiejs
[otchlani błękitu“.

Tak! gdy się mówi o Mickiewiczu, wargi zwiotczały i drżące nie chcą się zamykać... wątkowi myśli od niego i przez niego poczętych niema końca!... Lecz wypada już od „gładkiej jak szyba lodu“ Świtez przejść do zimniejszego trochę „Gopła“ Słowackiego. Przyrodoznawstwo tego ostatniego zupełnie inny ma charakter, niż Mickiewiczowe. Więcej w niem jest erudycyi książkowej i filozoficznej, więcej chęci przewidywania i przeczuwania rzeczy zmysłami nie ujętych, znacznie mniej niż u twórcy Pana Tadeusza—czucia i zespolenia się duchem z przyrodą ojczystą. Winny temu—zypuszczam—inne wychowanie i ciężkie okoliczności życiowe i społeczne, które drugiego z kolei wieszca narodu tak daleko zawsze trzymały od ukształceń krajo- i przyrodoznawczych. Wskutek tego w poezyi Słowackiego liryzm i podmiotowość zwyciężają przedmiotowe, realne odtworzenie przyrody. Przyroda polska w „Balladynie“ i „Lilli Wenedzie“ jest gdzieś za mgłą, w perspektywie bajecznej, tworzy zaledwie illuzję tła

do tego, co się dzieje na froncie obrazu, a jeżeli gdziekolwiek z konieczności musi sama przemawiać, śpiewać, czy łkać samoistnie, to obraz jej jest jakiś muślinowy—wizyjny—często wprost schematyczny, symbolami po wizyonersku malowany, szczególnie zlewają się w coś mglistego, pięknego, cudnego nawet chwilami, ale co to ma być właściwie z przyrody polskiej—nie wiemy.

*„Patrz! na słońca promyku wytryska z wody Goplana;
jak powiewny liść ajeru, lekko wiatrem kołysana;
jak łabędź, kiedy rozwinię uśnieżony żagiel steru,
kołysze się, waha, płynie...*

*I patrz, patrz! lekka i gibka skoczyła z wody jak rybka,
na niezabudek warkoczu wiesz się za białe rączki,
a stopą po fal przezrocza brylantowe iskry skrzesza“.*

Obraz to piękny, natchniony, do wzorów piękna twórczego należą, ale nie polski specjalnie. I ten „słońca promyk“, dziwnie z wody wytryskujący, i łabędź z „uśnieżonym żagle steru“ i „warkocz niezabudek“ o tak wczesnej wiosny godzinie — są to jakieś zjawiska kosmopolityczne — jakieś egzotyczne dekoracje sceniczne, nawet więcej powiem, że łabędź jest obcy, nieznany — ciemnym jak roztopiony bursztyn, w szuwarach smutnie szumiącym falom Gopła prastarego. To wizja jakaś dalsza, mirażowa, omylna—z mirażów tułacza dalekich, lecz oto zaraz, o parę zwrotek dalej Słowackiemu drgnęły serdeczniej usta i przez nie ze świętych schowanek subtelnej wychowaniem duszy polskiej przędzie z ukośnieniem wieść narodu i ludu słyszaną z dzieciństwa, skąd się biorą te radosne „cit ciwit-cit-ciwit“ jaskółek w pierwsze zaledwie przeżyte świtem dni wiosenne:

„Na włosach wróżki uśpione leżą jaskółki.

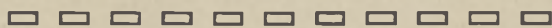
*Tak powiązane za nóżki kiedyś, w jeslenny poranek,
[upadły na dno rzeczutki.
Rzeczutka rzuciła wianek—wianek czarny jak hebany,
[na złote włosy Goplany“.*

*Promienie słońca przenikły jaskółeczek modre piórka...
ożyły, pierzchyły i znikły—jak spłoszonych wróbli chmurka—
Królowa nasza bez ducha, zadziwiona stoi—słucha—
nie śmie wiązać i zaplatać kos rozwianych,
nie wie czemu—wianeczkowi uwiędtemu przyszło ożyć?
skąd mu latać?..*

I ten obraz wiosenny jest prze-polski, przyroda tu sama gędzi naszą pieśń przedziwną na strunach harfy Derwidowej. Za niego, za tę cudną wizję dziwu przyrody wybaczysz mu zbyt ścisły przyrodoznawco, że chata polskiego pustelnika — króla Popiela nad Gopłem, „ustrojona jest kwiatami i bluszczem“, że Goplana „w pierwszej wiosny godzinie“ każe Chochlikowi narwać wianek róż jeszcze u nas wtedy nawet pączkami nie okrytych, że potem dziewczynie każe narwać „róż polnych i bławatków w życie“, że wbrew prawom przyłotu jednocześnie „po gałązkach leszczyny zlatują na dół śpiewne ptaszyny, złociste wilgi, gile, słowiki“. Przebaczysz—znam Cię dobrze, i tę gallijską „białą margierytkę, co piątym listkiem „nie kocha“ zabiła młodą pasterkę (u nas w Polsce do tej wróżby służy nie stokrotka—ale jastrun, rumian, modraczek)—i tego chłopca nadgoplańskiego Grabca, który—klnąc—mówi: „bogdaj cię ożenił sztokfisz w habicie z dyablem“ i tyle innych obcych naszej przyrodzie szczegółów obrazowych „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“.

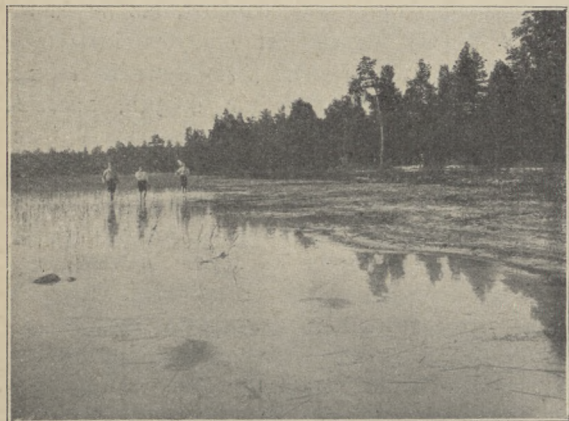
(d. c. n.)

Konrad Chmielewski.



Wrażenia z wycieczki w Nowogródzkie.

(Dokończenie).



BRZEG ŚWITEZI.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Z dawnych licznych kościołów katolickich zachował Nowogródek dwa tylko: poddominikański oraz fary; inne budowle klasztorne przerobione zostały na kościoły innego wyznania, albo też po prostu rozebrane, to też dziś dopytać się już nawet nie można, gdzie znajdowała się owa szkoła wydziałowa, w której Mickiewicz pierwsze nauki pobierał.

Mimo ubóstwa i zaniedbania, posiada jednak Nowogródek jakiś specjalny urok. Może czyni to wspomnienie Mickiewicza, z mianem miasteczka nierozłączne, może wreszcie owe piękne widoki, które z każdej prawie ulicy przed nami się roztańczają. Najpiękniejszy bezwątpienia widok przedstawia się oczom naszym ze starożytnej góry zamko-

wej. Miejsce to dziś bardzo zaniedbane i opuszczone. Z dawnych ruin zamkowych pozostały już tylko dwie baszty, rozsypujące się zresztą w gruzy. Jeśli jednak staniemy u stóp tych ruin na górze zamkowej i spojrzymy w dal przed siebie, niezapomnianego doznamy wrażenia.

Przed nami, daleko, jak zasięgnie oko, ciągną się owe

*„Pola, malowane zbożem rozmaitem,
Wyzłacane pszenicą, posrebrzane żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panteńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą,
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą“.*

Roześmiane do słońca, falujące pod łagodnym tchnieniem wiatru, dalekie, szumiące, ukochane przez poetę łany!...

I wtedy, na to wspomnienie, po raz pierwszy zjawia się w umyśle naszym świadomość, iż oto tu, w tem samym pewnie nawet miejscu, gdzie my teraz stoimy, stał może przed kilkudziesięciu laty on, autor „Pana Tadeusza“. Tych samych, co my obecnie, wrażeń doznawał, te same piękne widoki duszą wrażliwą i bezmiernie kochającą podziwiał.

Ileż razy, dzieckiem jeszcze będąc, bawić się tu musiał z towarzyszami, zbiegać ze stromych stoków góry, ukrywać w ruinach zamku...

Ileż razy w okresie młodości swojej „górną i chmurną“ nieskończone godziny dumań tu przepędzał...

Ileż razy wreszcie później, rozłączony z tą ukochaną ziemią na zawsze, wspominać musiał jej czary. Jak nieukojoną była jego tęsknota, skoro wydarła mu z serca te proste, a tak bolesne słowa:

*... „Litwo! ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił“...*

W wielu utworach Mickiewicza spotykamy opis zamku Nowogródzkiego (np. w „Grażynie“) lub też góry zamkowej i dawnego kościoła farnego, przytulonego do zboczów tej góry.

A dziś? Czy jest tu choć ślad jaki dawnej obecności poety? Czy otaczają to miejsce staraniem i opieką? Ze smutkiem przyznać musimy, że nie. Z dziwną obojętnością traktują tu te wspomnienia. Jedyłą pamiątką jest dom, wybudowany na miejscu tego, który dawniej należał do rodziców Mickiewicza, jedynym utrwaleniem wspomnień—piękna tablica pamiątkowa z popiersiem poety w kościele po-dominikańskim.

*„Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać swe konie,
Byś się przypatrzył jezioru“.*

(ballada „Świtez“).

Powiat nowogródzki posiada dwa większe jeziora: Świtez i Kołdyczewskie. Ponieważ jednak mogę opisywać to tylko, co sama widziałam, opowiem jedynie o pierwszym z nich.

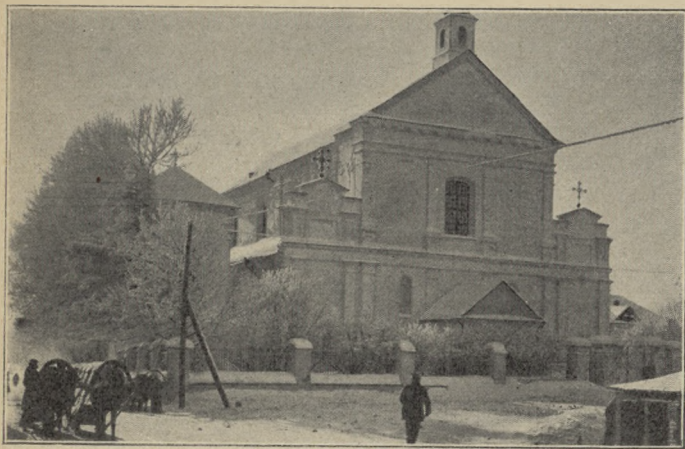
Jezioro Świtez, którego poznanie poleca Mickiewicz każdemu, kto zwiedza te strony, jest jeziorem niewielkim, położonym w samym prawie środku wyżyny Nowogródzkiej. Jezioro to jest kształtu symetrycznie okrągłego, ma około 5-u wiorst obwodu. Badając mapy Świtezi, widzimy ze zdumieniem, iż nie ma ona ani odpływu, ani przyływu. I tak jest istotnie. Właściwy odpływ jeziora do dziś dnia odkrytym nie został. Wśród ludu tutejszego rozpowszechnione jest przekonanie, że Świtez ma tajemną komunikację podziemną z jeziorem Kołdyczewskim, odległym stąd o 20 kilometrów. Opowiadają nawet w tych stronach, iż dla sprawdzenia tego zjawiska wpuszczono kiedyś do Świtezi szczupaka z czerwoną obrączką i że tenże szczupak wyłowiony został następnie w jeziorze Kołdyczewskim. Opowieść ta pozbawiona jest jednak absolutnie danych naukowych i wobec tak wielkiej odległości obu jezior uważana być musi za zupełnie bezpodstawną.

Jezioro otoczone jest dokoła starym, rozległym lasem, ciekawym ze względu na skład drzew, gdyż rosną tu beładnie pomieszane: dęby, sosny, brzozy, graby, lipa drobnolistna, jesiony i t. d.

Przed kilku laty jezioro zostało w części spuszczone zapomocą specjalnie przekopanych kanałów i od tego czasu oddzielają gdziegdzie wodę od brzegu wązkie pasy zarosłych trawą moczarów. Bezpośrednio po za tym pasem ciągnie się wzdłuż wschodniego i zachodniego brzegu wązka grobla, na jakiś metr nad poziom wody wyniesiona, porośła całkowicie sosnami, których korzenie stanowią jakby jej rusztowanie. Geologiczna historia tej grobli i wogóle brzegów Świtezi nie została dotychczas wyjaśniona. Podług jednych, grobla ta jest sztucznie usypanym w zamierchłej przeszłości wałem. Przypuszczeniu temu zdaje się sprzyjać prof. Benedykt Dy-



Fot. J. Budhak.



KOŚCIÓŁ W NOWOGRÓDKU.

Fot. J. Buthak.

bowski, który jezioro obchodził dookoła i badał jego brzegi. ¹⁾

Innego zdania jest dr. Antoni Rehman, który również badania prowadził na miejscu. Przytaczamy poniżej hipotezę dr. Rehmana ²⁾, która wydaje nam się prawdopodobną, w całości. Według niego wymieniona grobla powstała w sposób naturalny z naniesionych przez wodę i osadzonych na mieliźnie suchych gałęzi, zwiędłych liści drzewnych, mułu i t. d. Gałęzie te i liście, rozkładając się, wytworzyły żyzną próchnicę, padły na nią nasiona drzew sąsiedniego lasu i zapoczątkowały pokrywającą obecnie groblę bujną roślinność. Przy dokładniejszym badaniu grobli i jej okolic zwraca naszą uwagę fakt, iż bezpośrednio po za nią ciągną się na pewnej przestrzeni porośnięte zielenią moczary. W wielu miejscach, szczególnie na brzegu zachodnim, moczary te uległy już prawie całkowicie osuszeniu i pokryte zostały lasem, tak, iż na pozór nie różnią się niczem od sąsiedniej grobli. Zjawisko to naprowadza dr. Rehmana na przypuszczenie, iż wogóle jezioro musiało być niegdyś znacznie większych rozmiarów, i że zmniejszeniu uległo ono dopiero wówczas, gdy wskutek istnienia mieliżni utworzyła się owa grobla i jak gdyby odcięła znaczną przestrzeń wodną.

Zupełnie inaczej przedstawił się północny i południowy brzeg Świtezi. Przedewszystkiem są one znacznie wyższe i ulegają stale podmywaniu i niszczeniu przez fale, wskutek czego jezioro się ustawicznie w tych dwóch kierunkach powiększa. Dowodem tego są bardzo liczne drzewa, albo pochylone nad po-

wierzchnią wody, albo też zanurzone już w falach jeziora.

Rehman zwraca uwagę, iż porównując te dwa powyżej opisane zjawiska: tworzenie się grobli na brzegach wschodnim i zachodnim, oraz niszczenie wskutek działania fal brzegów północnego i południowego, zgodzić się trzeba, że pierwsze grunty tych brzegów są różnego pochodzenia; północny i południowy utworzone są z piasków i kamieni polodowcowych, wschodni i zachodni powstały niedawno, dzięki działaniu wody; po drugie bardzo ciekawem jest to, że brzegi jeziora północny i południowy niszczone są stale przez wodę, — wschodni i zachodni przez nią budowane. O ile by

przyjąć pogląd powyższy, w takim razie jezioro ustawicznie powiększałoby się w jednym kierunku, zmniejszało w drugim. Prof. Dybowski jednak przeciwny jest temu mniemaniu!

Największa głębokość jeziora wynosić ma około 11 metrów. Dno jest piaszczyste i porośnięte roślinami, między którymi spotkać można ciekawe i rzadkie w jeziorach Europy Środ. okazy (między innymi prof. Dybowski wymienia Lobelię Dortmanna).

Nad jeziorem rośnie trzcina, sitowie, oraz owe „białawe kwiecie, jak motylki białe, unoszące się nad topielą“, czyli car—ziele z Mickiewiczowskiej ballady, w rzeczywistości zaś bagno zwyczajne (*Ledum palustre*).

Dzięki zielonemu opasaniu lasów i niezwyklej przezroczystości wody przedstawia się Świtez pod względem krajobrazowym bardzo malowniczo. Najpiękniejszym jest jednak jezioro w godzinach wieczornych i nocą.

O zachodzie słońca zrywa się nad jeziorem lekki wietrzyk i tworzy na powierzchni wody fale, które z cichem, zaledwie dosłyszalnym westchnie-



ULICA PRZY KOŚCIELE W NOWOGRÓDKU.

Fot. J. Buthak.

¹⁾ B. Dybowski „Świtez“—Kosmos, 1898.

²⁾ Porówn. Dr. Antoni Rehman „Nizowa Polska“, Lwów 1904 i tegoż „Jezioro Świtez i Koldyczewskie“, „Wszecławiat“, 1891.

niem zamierają u naszych stóp. Stoimy na północnym, t. zw. „królewskim“ brzegu. Na zachodniej stronie nieba konają jeszcze blaski słońca... jeszcze niebo zarumienione ostatnim uśmiechem dnia... Przed nami, z za czarnej wstęgi lasów wypływa powoli wielki, jaskrawo-czerwony księżyc. Jasne smugi padają na fale jeziora, rozświetlają mroczną głębię, migocą złotymi iskrami w wodzie. Zwolna gąsną łuny zachodu. Wiatr milknie. I cisza dokoła, cisza zupełna, tylko kiedynkiedy zaszemrze u stóp fale. Wśród tej ciszy zupełnej, wśród dekoracji czarodziejskiej blasków księżycowych wydaje się jezioro jakąś marą senną, czemś oderwanem od świata... Ale bo też żaden odgłos świata tutaj nie dochodzi. Czujemy się w tej chwili tak bezmiernie od niego daleko, iż jakby opadły z nas nagle wszystkie łączące nas z życiem i ziemią więzy, jakby ogarnął nas piękny, raz tylko w życiu śniony sen...

— „*Oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu;
Zdajesz się wisieć w środku niebokrega
W jakiejś otchłani błękitu*“.

Przychodzą nam na myśl słowa poety. Przypominamy sobie balladę o Świtezii i mimowoli patrzmy, czy gdzie z pośród wód nie wypłyne piękna Świtezianka... Lecz pusto dokoła i cicho, księżyc wchodzi coraz wyżej, coraz srebrniejszymi stają się jego blaski, coraz ciszej szemrze fale...

I nagle w wyobraźni naszej powstaje wizja poety. Widzimy go tu, na tym brzegu królewskim, w taką samą cudną noc księżycową. Widzimy go zapatrzonego w jezioro, zasłuchanego w ci-



DWÓR W TUHANOWICZACH.

Fot. J. Buthak.

che poszepty fal... I zda się, idziemy za biegiem jego myśli, odczuwamy jego wrażenia, rozumiemy ukochania.

Jak gdyby gdzieś, blisko nas, ktoś niewidzialny stał... Jak gdyby slychać było czyjeś ciche westchnienie... Jak gdyby w tem miejscu pięknem, miłością jego przepojonem, błąkać się miała po śmierci jego dusza...

I dziwnie podniosłe ogarnia nas uczucie. Niekną wszelkie egoistyczne dążenia. Bezmierny spokój roztacza nad nami swe skrzydła, skądś, z głębin pamięci wypływają piękne, nawpół zapomniane słowa Konopnickiej:

„*Tu był, tu czuł, tu marzył. Tędy jego oko,
Zapalone tęsknotą, ponad sosen szczyty
Biegło pcd sine gwiazdy, w świat mgłami zakryty,
I pierś ku mrocznym borom dyszała głęboko.*

*Tu śpiewał. Rozkochane słowiki tej wiosny
Umilkły w krzewach, w jego wsluchując się pienie,
Bo był głos—nad ich głosy—gorący, miłosny,
A z pieśni biły szumy zbóż i gajów drzenie.*

*Tu, na samotnej sosny patrząc czarność,
[smętny,
Zwracał ku niebu oczy tęskne,
[gorejące...
Stąd—orzeł, gniazda swego górnego
[pamiętny
Wzniósł loty, wzbił nad ziemię—i uleciał
[w słońce!]*

Janina Rodyówna.



BAZAR W NOWOGRÓDKU.

Fot. J. Buthak.

Juliusz Huret.

Na wybrzeżach Bałtyku.

3)

Królewiec.

Pod względem bogactwa Królewiec nie może się nawet mierzyć z Gdańskiem. Poza posępnym zamkiem niema w nim nic, chyba uniwersytet, w którym wykładał Kant, i niepozabawione malowniczości wybrzeża Pregoty. Najbardziej ożywione ulice miasta są smutne, a domy banalne; duży, położony w pośrodku miasta staw mógłby je nieco ożywić, gdyby nie to, że mu brak łódek i żagli, wskutek czego woda wydaje się jeszcze bardziej posępną i zimną. Żadnych bogatych dzielnic, żadnych okazałych kamienic, któremi przepętnione są wszystkie zamożne miasta niemieckie — Królewiec jest biedny. Do niedawna jeszcze, jak Gdańsk, płacić musiał procenty od pożyczki, zaciągniętej na spłacenie kontrybucyi wojennej, nałożonej przez Napoleona.

W istocie Napoleon obłożył Królewiec w 1807 r* 20-milionową kontrybucją. Deputacja przedstawicieli miasta udała się do cesarza, przedstawiła mu swoją niezamożność i bezmała przekonała go, gdyż kontrybucya zmniejszona została do 11 milionów. Suma ta, jak na owe czasy i w stosunku do zadłużenia miasta zawsze jeszcze ogromna, spłaconą była przecie od ręki. Zaciągnięto pożyczkę, wypuszczając 3½ % obligacye do zamortyzowania przez całe szeregi lat i ostatecznego umorzenia dokonano nie wcześniej, niż w roku 1891!

Mieszkańcom Królewca leży mocno na sercu obojętność i egoizm państwa pruskiego w stosunku do tej „stolicy i rezydencji królewskiej“ — taki jest urzędowy tytuł miasta, — miejsca koronacji królów pruskich. W istocie Prusy nie uczyniły nic, a przynajmniej bardzo niewiele gwoli ulżenia miastu przy spłacie tak wielkiego i tak wyczerpującego długu. Przy zawarciu pokoju w 1807 r., które nastąpiło bezwzględnie po wypłaceniu kontrybucyi (z tego prawdopodobnie powodu wymagał Napoleon natychmiastowej zapłaty) nie było mowy ani o Królewcu, ani o jego 11 milionach. Tytułem zapomogi rząd ledwie że wyrzekł się jakiegoś nieznacznego podatku, pobieranego od piwa. I dopiero poczynając od 1871 r. zdecydowały się Prusy przyczynić się w gotówce, skromną zresztą sumą 75000 marek rocznie, do spłacenia długu.

— Skutkiem tej kontrybucyi, mówiła mi jedna z urzędowych osobistości, miasto nasze nie mogło nadążyć w rozwoju za innymi miastami niemieckimi

i skutkiem niej podatki miejskie dosięgają wysokości 200% podatków państwowych.

Prawda, że dzisiaj na obszernej płaszczyźnie, właściwie na straszliwych wydmuchach poza fortyfikacyami, wznosi się z dnia na dzień coraz więcej willi i zakupuje coraz więcej placów. Bogate mieszczaństwo buduje wygodne domki, wytyka ogrody, przesadza drzewa i usiłuje wszelkimi siłami stworzyć wieś tuż pod miastem. Niestety, brak im jest przedewszystkiem lasu, któryby mógł ochronić wille od wichru, przychodzącego z wielkich przestrzeni bez przeszkód, a który nawet w sierpniu — jak to czuję wybornie — dmie straszliwie i zgina niemal do ziemi młode brzozy i wątle topole.

Wzdłuż ocienionej wielkimi drzewami drogi, która wychodzi z Steindammer Thor i mija fortyfikacye, pełno jest obszerne ogrodów, kawiarni i cukierni, gdzie się jeździ na odpoczynek, i gdzie w Hafen i Boersen Garten zbiera się młodzież królewiecka. A latem jeździ się morzem do pobliskiego Cranz, a jeszcze więcej do Ranchen, słynnego swojemi diunami, pokrytymi różowymi i niebieskimi krzewami; jest to ulubione miejsce Polaków i Rosyan, to też Niemczyzny prawie że tutaj nie słychać.

Jedyna istotnie malownicza dzielnica Królewca, targ na ryby, rozrzucona jest wzdłuż wybrzeży Pregoty.

Przed starymi i wysokimi domami handlarze starzynny porozkładali swoje skorupy, żelaztwo i różne rupiecie. Tuż obok jakaś gruba baba rozłożyła na deskach, leżących na koziołkach, świeże śledzie; inne wiszą za głowy na sznurku, rozciągniętym ponad tym sklepikiem pełnym prostoty. Dalej handlarz jarzyn i starego ubrania w jednej osobie rozwiesił swe łachy, które, szarpane przez wiatr, muskają od czasu do czasu obok leżące makrele; jeszcze dalej, bez żadnego już straganu, sprzedaje się wprost na bruku ulicznym jarzyny. W ciasnym tuż obok znajdującym się porcie, tłoczą się łodzie o zwiniętych żaglach. A przed tymi kramami o niedzisiejszym wyglądzie wznosi się stary uniwersytet, ten sam, w którym wykładał Kant. Ale cudzoziemiec, który przybędzie do Królewca, pociągnięty wspomnieniem wielkiego filozofa, nie znajdzie już po nim prawie żadnej pamiątki, gdyż dom jego został zniszczony, bez zachowania jakichkolwiek bodajby śladów; jakiś An-



glik, który przed kilku laty przybył do Królewca, pełen kultu Kantowskiego, dowiedziawszy się o tym domu, zburzonym doszczętnie, rozplakał się. Potem udał się na grób Kanta, a gdy spostrzegł, jak lichy jest utrzymywany, rozplakał się po raz drugi.

Królewiec nie może się rozszerzyć, bo go duszą fortyfikacje jego pierwszorzędnej twierdzy. Kontrybucya Napoleńska przeszkodziła mu w upiększeniu się, a królewskie plany strategiczne nie pozwalają rozwinąć się materialnie. Wobec tego że główne arterye ucięte są murami fortecznymi, znoszą już nawet skwery i aleje wewnątrz miasta, a Bóg jeden wie tylko, ile cierpi Niemiec, kiedy mu zabrać jego zieleń. A jednak poświęcono trawniki i drzewa dla wybudowania na ich miejscu domów.

— A przecież, wdychają mieszczenie, cesarz sam obiecał, że tereny wojskowe będą sprzedane...

— A więc, dlaczego nie przypomnieć mu tego? Dlaczego prasa nie krzyczy? Dlaczego?...

— Ah! ah! ah!... podniósł interpelowany ręce do góry.

I nic więcej już z niego nie można było wyciągnąć.

■ ■ ■

Jak mówiłem, kraj ten nie jest bogaty. Ziemia zaledwie zdoła utrzymać człowieka, chłopci emigrują na zachód. Tutaj obywatel daje mu w sam raz tyle, ile potrzeba mu na odzienie, płaci świniami, zbożem, kartoflami. W Westfalii natomiast, w prowincyi Nadreńskiej, zarabiają odrazu 3 do 4 marek dziennie i to gotówką bez żadnych zastrzeżeń (co za skarby!), a mogą z tem robić, co się duszy zamarzy (co za swoboda!). Miasta są ożywione, pełno jest koncertów, teatrów; w niedzielę, mając pieniądze w kieszeni, można tam iść, o ile się ma ochotę, lub można wsiąść do wagonu i pojechać gdzieś daleko od miejsca codziennej pracy. Koniec końcem można żyć. To też uciekają całemi masami. Królewiec żyje tylko z Rosyi, a przynajmniej tylko dzięki niej miasto może być w stanie kwitnym. Jeżeli w Rosyi panuje spokój, wszystko idzie dobrze; jeżeli rząd zawrze korzystne traktaty, interesy polepszają się, gdyż jest to najbliższy port, a przytem Ryga i Libawa w zimie zamarzają. Wreszcie do Rosyi można się dostać też Niemnem i sąsiednimi rzekami. Podczas blo-

kady albo podczas oblężenia Sewastopola granica była słabiej obsadzona i interesy szły przewybornie—dzięki kontrabandzie.

Zatem, jak się rzekło, Królewiec nie jest bogaty, chociaż jak wszędzie w Niemczech miasto jest w rozwoju. Jeden z miejscowych dowcipów poucza nawet, że jest to miejscowość, gdzie życie kosztuje taniej, niż gdziekolwiek indziej, gdyż za 2 fenigi ma się przejażdżkę gondolą, śniadanie i koncert; co oznacza, że przejeżdża się Pregolą za feniga, za drugiego kupuje się bułkę, a, o ile jest jedenasta rano, słucha się za darmo granego na trąbach ze szczytu wież zamkowych chorału Lutra.

To też, jak na miasto o 220000 mieszkańców, życie przemysłowe nie doszło jeszcze do szczytu swojego rozwoju. Jako zadatki wielkiego przemysłu znajdują fabrykę wagonów, fabrykę nawozów, wielki skład gałganów, fabrykę celulozy, odlewnię stali i o kilka kilometrów jedyną na świecie kopalnię bursztynu.

Zacząłem od zwiedzenia gałganiarni p. Minkowskiego, który, jak się okazuje, jest inteligentnym agentem handlowym francuskim w Królewcu. Jest to potężny przemysł. Składy mieszczą się na jednej z ulic, zamurowanej wyłącznie magazynami, smutnymi budynkami o zupełnie płaskich fasadach i wiecznie zamkniętych oknach ciemno-czerwonego koloru.

Ponieważ wszystkie te gałgany służą do wyrobu papieru, p. Minkowski obznajmiony jest dobrze z przemysłem papierniczym i ma na niego pogląd bardzo oryginalny.

— Zużycie papieru jest wyborym termometrem, jeżeli chodzi o ocenę stanu interesów i ogólnego rozwoju danego kraju. To jest sprawdzian daleko bardziej miarodajny, aniżeli zużycie mydła, które Anglikom podoba się przeciwstawiać papierowi w tej mierze. Im więcej jakiś naród zużywa papieru, tem jest bardziej cywilizowany, jeżeli przez „cywilizację“ rozumieć będziemy zespół oznak współczesnej żywotności. Czyż nie potrzeba go do wszelkich rodzajów działalności: korespondencyi, ekspedycyi, czasopism, książek, rycin i t. d.? Krajami, które średnio zużywają go najwięcej, są Stany Zjednoczone, później Niemcy, a potem Anglia.

(d. c. n.)

tłum. St. Th.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.



IV.

Zapada już zmrok. Wązkim, w kręte zakosy łamanym szlakiem wije się po śniegu polna, zwyczajna droga. Oprócz ostro i głęboko wyłobionych kolej, czerni się na niej lub obok

niej mnóstwo śladów od nóg, kopyt, racic, pazurów; to nie nudna i płaska szosa, której się nie czepia ślad nogi przechodnia, to żywa kronika ostatnich dni. W dali czernieje bór, górą idzie szum i łopotanie skrzydeł przelatujących ostrożnie a chybkowron, czasem ich bezdźwięczne, jak głos drewnianych kołatek, krakanie. A kiedy się chwilami zwali i skłębli nawałnica, kiedy sypać się i miotać ze wszech stron zacznie śnieg, nie można się oprzeć wrażeniu, że to jest świat z bajki, świat i scenerya jednej z tych ślicznych i strasznych baśni, które nam kiedyś, skulonym w ciepłych łóżeczkach, szeptały niańki, same swoją opowieścią nawpół przerażone. Takie to jest mocne i takie, pomimo sterczących, jak kościeje, bezlistnych pni drzew, żywe i takie od wszystkiego, czem o tej porze roku normalny i cywilizowany osobnik otacza się, inne. Zdawałoby się, że jest aż za dużo dosyć racyi, dla których wartoby w to groźne, lecz piękne i czyste oblicze natury popatrzeć i na krótką chociażby chwilę wyłamać się z nudnych opłotków codziennego dreptania. W rzeczywistości nic z tego. Zimą widzi się, jadąc za interesem, na chrzciny, na wesele, na winta, w najlepszym wypadku na polowanie, to jest zawsze wtedy, kiedy ona jest rzeczą dodatkową i zwykle niechętnie tolerowaną.

Na wycieczki się zimą nie chodzi.

Ale pomiędzy tysiącem i jednym powodów, dla których się u nas tak robi, więcej jest zapewne takich, które są cdruchem instynktowej niechęci poprostu, aniżeli ściśle umotywowanych argumentów.

Nie chodzi się, bo jest zimno. Jednak chodzi się latem, choć jest zbyt gorąco czasami. Proszę sobie przypomnieć gorzkie chwile i niezbyt pogodny nastrój, jaki ogarnia człowieka, dźwigającego kilka czy kilkanaście funtów na plecach, grzęznącego po kostki w piachu i zamykającego przy trzydziestu stopniach gorąca oczy przed potem, który się leje z czoła strugami. A przecież nikt jeszcze nie stawiał wniosku, żeby zaniechać letnich wycieczek.

Nie chodzi się, bo dzień jest zbyt krótki. Bezsprzecznie. Ale i w najdłuższe dni czerwcowe, nie idzie się zwykle dłużej na dobę, niż 6—8 godzin, a tyle godzin światła jest nawet w grudniu. Można zatem conajwyżej ułożyć inaczej marszrutę, można przeznaczyć godzinyienne na przejście, a wieczorne na odpoczynek i oglądanie takich rzeczy, które światła dziennego nie wymagają, można zresztą urządzać zimą wycieczki krótsze i odpowiedniejsze ze względu na warunki klimatyczne, ale nie trzeba zasłaniać się argumentem, który o własnej sile ustać nie może.

Nie chodzi się też pomiędzy innemi, dla tego, że jest błoto. Błoto bywa nietylko w zimie, a wreszcie jest to coprawda kwestya, o której raczej dyskutować by powinny buty i dolne odzienie, aniżeli odporny na przeciwności zewnętrzne, bity, kuty i hartowany krajoznawca-podróżnik. Ale, niestety, tutaj właśnie utknęliśmy na głównym, najtwardszym, choć, dalibóg, dziurawym sęku.

Dość utartem i powszechnie przyjętem zdaniem odporność i wytrzymałość fizyczna są to cechy, które z istotą krajoznawstwa nie znajdują się w żadnym związku. Są to zalety potrzebne sportowcowi lub rzemieślnikowi, jakimś wioślarzem, cyklistom, zawodowym atletom, kowalom, strażakom, posłańcom, ale w każdym razie nie ludziom, chcącym poznawać kraj. Ośmielę się jednak zauważyć, że jeżeli się chce poznawać go osobiście, to lepiej już być strażakiem albo posłańcem, aniżeli niedołącznym mózgowcem, który nie może przejść nędznych 2 albo 3 mil piechotą bez ciągłego przysiadania, pojadania, popijania i rozpytywania się pierwszej lepszej spotkanej na drodze baby o konie. Nie mam przez to na myśli, że młody krajoznawca powinien, jak rzymianin, przebywać wplaw rzeki jesienią albo, jak spartanin, nosić za gorsem od koszuli lisa, któryby go drapał i gryzł po żebrach. Mniemam tylko, że do krajoznawstwa czynnego potrzebne jest, ale to potrzebne niezbędnie pewne minimum sił fizycznych

i że kto nazbył szczupły ich zapas wydatkować musi na przewyższenie najskromniejszych bodaj trudów podróży, temu nie zostanie już nic, czemby mógł podziwiać a choćby oglądać ostateczny cel swej podróży. Proszę spróbować zachwycać się rykiem wodospadu z dochodzącą do mdłości migreną albo wejść po ciemnych, stromych i krętych schodach na wysoką wieżę, kiedy nogi mają nieprzewyżniony pociąg do klękania.

Stąd wolnoby, zdaje się, wysnuć dwa — proste zresztą i wcale niezuchwałe wnioski: krajoznawca, który chce zabezpieczyć sobie możliwie wielką ilość pożytku i przyjemności duchowych, powinien swobodnie panować nad przeszkodami zewnętrznymi a nie powinien unikać warunków, w którychby swoją odporność i sprawność mógł wzmocnić; i powtóre: zima jest takim właśnie czasem, kiedy przeszkody zewnętrzne dochodzą do wyższego natężenia i kiedy można się doskonale uczyć przewyżczać je.

Zgadzam się zresztą chętnie, że to są argumenty raczej negatywne, dowodzące, dlaczego zimy nie należy unikać, aniżeli pozytywnie zachęcające do szukania jej. A właśnie szukać jej trzeba.

Krajoznawcą — i to poważnym — można być, nie wychodząc z czterech ścian swego gabinetu. Wystarczy np. być tylko gruntownie i specjalnie wykształconym, jeżeli się chce opracowywać, dajmy na to, dział ekonomiczny krajoznawstwa, albo przynajmniej wszechstronnie czytany, jeżeli się w sumiennych kompilacjach chce odtwarzać cudze wrażenia i spostrzeżenia. Ale większość ludzi nie jest ani do prac specjalnych uzdolniona, ani nie chce pisać kompilacji, tylko, bardzo zresztą słusznie, chce uzupełnić wiadomości czerpane z książki swoim skromnym może, ale własnym, bezpośrednim wrażeniem. Nie chce, jednym słowem, pisywać listów do kochanki przez sekretarza. W tym celu poznaje kraj osobiście. Trzeba mieć jednak stale w pamięci, że chcąc poznać go jako tako, należy obejrzeć go możliwie wszechstronnie, żyć z nim, spoufalić nawet i nie poprzestawać na wrażeniach, odbieranych stale pod jednym kątem widzenia. Jeżeli ktoś przez 20 lat z rzędu chodzi dzień w dzień tą samą ulicą o jednej i tej samej porze do swoich zajęć czy na spacer, nie znaczy to bynajmniej, żeby znał tę ulicę istotnie. Wie, jak ona wygląda o dziewiątej rano i o trzeciej popołudniu, ale nie może sobie nawet wyobrazić — bo w pamięci utkwiły mu te dwa poszczególne momenty — jak wygląda późnym wieczorem, kiedy ludne i ruchliwe w dzień place przybierają pozór wielkich, źle oświetlonych i posępnych salonów, nocą,

kiedy chłodne, twarde i kontrastowe światło księżycy nadaje osobliwy i fantastyczny wygląd najbardziej banalnym kamienicom, ani wczesnym zimowym rankiem, kiedy zamiast codziennie widzianych przechodniów snują się po chodnikach przygarbione postacie idących do pracy z manierkami w rękach robotników, albo dążących na rotaty nabożniś, z kawałkiem świecy i grubą książką pod pachą. A jeżeli tak trudno jest na zasadzie ułamkowych, choćby wieloletnich spostrzeżeń wyrobić sobie pojęcie o jednej ulicy, o mieście, na którego bądź co bądź zasadniczą charakterystykę zewnętrzną składają się plany ulic i sylwetki domów, to jest, rzeczy niezmiennie, to o ileż trudniej wgłębić się, rozgryźć aż do najgłębszego rdzenia istotną treść wewnętrzną okolic, które się widuje zawsze tylko w pełnym rozkwicie zieleni, zawsze przy natężonym do maximum świetle lipcowego słońca.

Dwa widoki — letni i zimowy — jednej i tej samej okolicy dopełniają się nawzajem, chociaż nie tak, jak odcisk woskowy z modelem. Dlatego, znając jeden z nich tylko, nawet przy najbujniejszej wyobraźni nie można sobie zupełnie dokładnie przedstawić, jak będzie wyglądał drugi, wrażenia bowiem, odbierane przez człowieka od krajobrazu, zależą niekiedy od czynników tak nieskończenie drobnych i nikłych, że je się przy takim sztucznym odtwarzaniu całości łącznie z uwagi wypuszcza.

Więc dla tego, kto istotnie i szczerze chce poznać rodzimy krajobraz, kto w jego widoku szuka zrozumienia pojęć i poglądów, pomyślnych na zimno przy książce, niech go stara się widzieć jaknajczęściej, niech go właśnie ze szczególną bacznością ogląda z tych stron, które z natury rzeczy mogą być rzadsze i z większym zachodem widziane. Niech w nim odnajduje piękno i wdzięk nie tylko wtedy, kiedy życie przelewa się w bujnych formach najwyższego rozkwitu, ale i wtedy, kiedy, jak martwe, przypada do ziemi, kiedy w niem, jak w popielisku, ledwo nikłe i rzadkie tleją iskierki.

Kto tej pracy zadać sobie nie zechce, będzie własny kraj znał tylko połowicznie, a połowicznie znaczy w danym wypadku tyle, co — fałszywie.

Boruta.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Oddział Kujawski postanowił w r. b. urządzić we Włocławku wystawę krajoznawczo-artystyczną; wystawa ma objąć następujące działy: sztukę ludową, sztukę stosowaną, archeologię, etnografię, miejscowe zabytki sztuki, malarstwo i rzeźbę współczesną.

Na rok bieżący Zarząd Główny ogłosi 3 konkursy na prace i zbiory krajoznawcze:

- 1) dla młodzieży;
- 2) na naukowe zbiory przyrodnicze z Mazowsza i
- 3) na opis ilustrowany lub komplet ilustracji, obrazujących jakąbądź okolicę z Mazowsza; przy czem dopuszczalne być mają wyjątkowo i opisy innych okolic. Opracowanie szczegółowych warunków konkursu tego polecono pp. M. Heilpernowi, Al. Janowskiemu i K. Kulwieciowi.

Na styczniowym zebraniu miesięcznym przewodniczący K. Kulwiec zdawał relację z działalności Towarzystwa za ostatni miesięczny okres sprawozdawczy, p. Al. Janowski wygłosił zajmujący odczyt „o Łysogórach”, obficie ilustrując go obrazami nikiącymi, a p. Zygmunt Pietruszczyński zdawał sprawę z wyników swych badań gleboznawczych na Łysogórach.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Przewodnik po Poznaniu i Wielkiem Księstwie Poznańskiem z mapą, planem i rycinami. Skreślił Konstanty Kościński. Poznań, nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha 1909, str. 226, cena 75 kop.

Praktycznie i starannie ułożony ten przewodnik zawiera w sobie bodaj wszystkie wiadomości, niezbędne dla podróżnych, przybywających do Poznania lub wogóle do Księstwa. Po krótkim wstępie i zwięzłym zarysie historycznym mamy tu kolejno wykaz i krótki opis wszystkich kościołów, muzeów, urzędów i instytucji w Poznaniu, spis hoteli, redakcji, lekarzy, wiadomość o teatrze i bankach. Imponujący wprost jest wykaz towarzystw polskich, mających siedzibę w Poznaniu. Jest ich około stu. W końcu opisu stolicy Księstwa podany został dla informacji przyjezdnych niemieckopolski spis ulic i placów miasta Poznania, ułożony przez wydział kulturalny „Straży”. Nieoswojonego ze stosunkami czytelnika uderzą takie zestawienia: Blücherstrasse—ulica Blacharska, Bülowstr.—ul. Biała, Gneisenaustr.—ul. Gnieźnieńska, Gosslerstr.—ul. Guślar-ska, Miquelstr.—ul. Michała, Uhlandstr.—ul. Ułańska i t. p. Tego rodzaju dwujęzyczność narzucona została zresztą Poznańlakom przez prostą konieczność.

Pozostałe dwie trzecie „Przewodnika” wypełnia opis położonych w Księstwie miast i miasteczek oraz niektórych wsi, odznaczających się pamiątkami historycznymi. Wszystkie opisy są bardzo zwięzłe ale naogół odpowiadają dobrze swemu zadaniu. Uzupełnia je wybornie podany drobniejszym drukiem przy każdej

miejsowości wykaz polskich hoteli, sklepów, lekarzy. Byłyby jednak pożądane nieco bliższe szczegóły o takich wspaniałych zbiorach, jak np. w Kórniku, Rogalinie, Gołuchowie.

W końcu podane zostały plany wycieczek pieszych po Księstwie. Sprawdzić je można na dołączonej do książki niedużej ale dobrej mapie Poznańskiego. Oprócz mapy mamy tu i kolorowy plan Poznania, wykonany zupełnie starannie.

Przewodnik niniejszy wypełnia ważną lukę w naszym piśmiennictwie krajoznawczem. Powinien on zachęcić turystów z Królestwa do częstszego niż dotychczas zaglądania do Księstwa. Pozostaje tył-o wyrazić pragnienie, aby i Prusy Królewskie, i Mazowsze Pruskie i Śląsk Pruski doczekały się wkrótce swoich własnych, podobnej wartości, przewodników. *E. M.*


Ks. Tadeusz Trzcński.—Przewodnik po pamiątkach Gniezna.—Poznań, 1909, str. 172.

Słusznie lwią część swojej pracy poświęcił autor katedrze gnieźnieńskiej (str. 1—87), uzupełniając ten opis pobieżniejszym przeglądem pozostałych kościołów tamtejszych i krótkim rysem historycznym o kościelnem oraz politycznem znaczeniu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i prymasów. O tej prastarej świątyni, której początki sięgają bajecznych jeszcze niemal początków Polski, z którą się potem tak wielki szmat życia i historii narodu zespolił, która zresztą artystycznymi zabytkami swymi mogłaby dobry kęs ziemi naszej oddzielić — pisano już dużo. Pisali swoi i obcy, znawcy i miłośnicy, szperacze i turyści, tem niemniej praca tego właśnie zakresu i formy, jak ją dla wygody zwiedzających przygotował ks. Trzcński, może być wielce pożyteczną. Poczynając od drzwi wejściowych, słynnego zabytku sztuki XII stulecia, obchodzi autor kolejno cały kościół i wierzące go dookoła kaplice, wyjaśniając w sposób bardzo zwięzły, przystępny i jasny wartość i znaczenie każdego zabytku. Podkreślił przy tej sposobności z uznaniem należy nie tylko gruntowne obeznanie się ks. T. ze źródłami monografiami, całości lub częściowym zabytkom temu poświęconymi, ale i porównawczą metodę, polegającą na zestawieniu zabytków gnieźnieńskich z rozszaniami po całym obszarze ziem polskich dziełami sztuki. Nie pozostawałoby, jak żyć sobie i innym częstego tej książeczki czytania na miejscu — w Gnieźnie. *T-t.*

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

+ Zamiłowanie do krajoznawstwa szerzy się, widocznie, coraz bardziej, skoro na łamach pism codziennych nieraz spotykamy artykuły i artykułiki treści krajoznawczej. Tak, naprz. w artykule „Na pograniczu”, zamieszczonym w Nr. 38 Kurjera Warszawskiego z d. 7 lutego b. r., podany został zajmujący opis legendy ludowej o byłym zamku we wsi Sarnowie w gub. płockiej, pow. mławskim. Z uznaniem też musimy podnieść intencję autora, który pisze, że „wieś (Sarnowo)



zasługuje ze względu na historię swoją na miejsce na łamach pisma, gdyż to, co niżej o niej powiem, może zainteresować zarówno badaczy naszych legend i podań, jak i archeologów⁴. Szkoda tylko, że autor zapomniał dodać, że ta sama właśnie legenda o zamku w Sarnowie, a co dziwniejsza, przeważnie w zdaniach tych samych i wyrazach była już podana w Tygodniku Ilustrowanym w numerze 128-ym z dn. 11 czerwca 1870 r. przez M. Dzikowskiego.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Z wydanego na rok bieżący katalogu dyecezyi lubelskiej, okazuje się, iż w obu guberniach: lubelskiej i siedleckiej, składających dyecezyę, jest dekanatów 19, parafii 256, kaplic publicznych i prywatnych 127, duchowieństwa 440 osób, alumnów 129. Największą parafią w dyecezyi jest powiatowy Janów, który ma 23,200 parafian. Zastępują na wyróżnienie parafie: Międzyrzec z ludnością 20,618, Łuków 20,450, Biała Podlaska 17,960, Parczew 17,890, Szczepieszyn 17,222, Krasnystaw 16,336, Krasnobród 15,886, Czemierniki 15,480, Siedlce 14,706, Ostrów 14,113, Zbuczyn 14,084, Radzyń 13,370, Garwolin 13,352, Garbów 12,825, Wisznice 12,410, Opole 12,333, Kraśnik 10,800, Sokołów 10,700, Końskowola 10,196, Chełm 10,035. W całej dyecezyi katolików obojga płci 1,599,203, w tej liczbie w gub. lubelskiej 931,242 i w siedleckiej 667,961. W roku przeszłym w gub. siedleckiej w pow. konstantynowskim powstały dwie zupełnie nowe parafie rzymsko-katolickie, jedna w Konstantynowie, staraniem i prawie wyłącznie kosztem hr. Stanisława Zyberg-Platera, druga w Kornicy tegoż powiatu kosztem parafian.

+ Jak donosi *Słowo*, przed niedawnym czasem koło posterunku straży pogranicznej w Sędzinie w pow. nieszańskim wykryto ropę naftową. Taka sama ropa tylko w lepszym garunku pojawia się pod Radziejowem i w Wąsewie. Wobec tego inż. Tadeusz Jewniewicz wydzierżawił wszystkie grunta, na których owa ropa się pojawiła i rozpoczął badania za pomocą głębokiego wiercenia. W tym ostatnim celu sprowadzony został specjalista, p. Władysław Brzeski, który już rozpoczął pracę i pierwsze wyniki świdrowania wysłał do zbudowania do instytutu Rotszyldów w Paryżu. P. Jewniewicz zawarł z właścicielami gruntów umowę rejentalną z zastrzeżeniem, że jeżeli w ciągu pięciu lat wiercenia, dokonywane na jego koszt, nie dadzą rezultatu, to dzierżawa się kasuje, w razie zaś przeciwnym dzierżawa przedłuża się na lat 19, przyczem właściciele pobierać będą umówioną opłatę od każdego puda wyprodukowanej ropy.

+ W *Gazecie Kujawskiej* czytamy:
„Na cmentarzu w Osiecinach zwraca uwagę nagrobek-sarkofag, na którym mundurowe wojska polskiego oznaki są i kask ułański. Na wszystkich czterech stronach pomnika są napisy. I oto czytamy na pierwszym: ś. p. Tomasz Zieliński, b. podpułkownik, kawaler orde-

rów, ur. 29 grudnia 1790 roku, umarł 12 marca 1869 r. w dobrach swoich Kościelna Wieś. Wdzięczny syn prosi pobożnych o westchnienie. Strona druga: Wkrótce zapomnianym zostanę, bo taki jest los ostateczny każdego z ludzi. Chwila skonu mojego będzie to upadek małego listka z wielkiego drzewa ludzkości: upadł listek, a drzewo i kształtu swego nie utraciło i nikt nie dostrzega ubytku. — Z pamiętnika własnego Tomasza Zielińskiego. Na trzeciej czytamy: Ani zaszczyty, ani dostatki w niczem nie zmieniły zasad prawego jego życia, prostoty i oszczędności. Podług jego woli złożony tu został obok ojca, matki i dalszej rodziny. Czwarła strona stanowi zobowiązanie synowskie: Choć cię, ojcze, zapomną przyjaciele twoi, lecz ja cię nie zapomnę, nie zapomną moi, i nim duch mój za tobą do niebios uleci, wdzięczność pamięć przekaże dzieciom moich dzieci. A. K. Z.

Pomimo to sarkofag, bardzo przypominający pomnik księcia Józefa w Lipsku, doznaje tego samego, co i tamten losu: chylił się do upadku. O ś. p. Zielińskim krążą na Kujawach różne wspomnienia; warto, aby je kto, rzecz znający, zgrupował⁴.

◆ ◆ ◆

+ W r. 1867 założono w Wilnie w celach naukowego ugruntowania rusyfikacji Litwy „oddział Północno-Zachodni Cesarskiego Tow. geograficznego“, który po kilku latach jakiejś działalności w r. 1875 faktycznie przestał istnieć. Obecny kurator okręgu naukowego, p. Lewickij, powziął projekt wznowienia działalności owego oddziału; w tym celu w d. 21 z. m. zwołał zebranie, które myśl inicjatora zaaprobowало i wybrało go bez balotowania na prezesa. Wice-prezesem został gubernator Lubimow, sekretarzem p. Dowgiało.

+ Podług kalendarza dyecezyalnego (rubrycelli) na r. 1910, katolików w dyecezyi łucko-żytomierskiej jest 819,982. Kościołów parafialnych jest 247, księży 331. Na Wołyniu jest 358,562 katolików, na Podolu 317,890, a w gub. kijowskiej 143,530. Największa parafia w Kijowie liczy 39,913 wiernych. Następnie idą parafie: w Żytomierzu—20,950, w Zwiąhlu—18,428, w Pulinach pow. żytomierskim—12,864, w Połonnem pow. zwiahelskim—10,695, w Łucku—6,552. Najmniejsza parafia—Buceń w pow. kowelskim, liczy 199 wiernych.

+ Według opracowanych ostatnio urzędowych danych statystycznych m. Kijów posiada obecnie 459,904 mieszkańców, w tem mężczyzn 220,204 i kobiet 239,700. Podług wyznania, mieszkańcy Kijowa dzielą się: na prawosławnych 337,455 (165,785 mężczyzn i 171,670 kobiet), katolików 48,019 (22,922 m. i 25,027 k.); wyznania luterńskiego 11,684 (5,467 m. i 6,217 k.); szundystów i t. zw. „staroobriadców“ 1,993 (922 m. i 1070 k.); żydów 49,813 (23,848 m. i 25,965 k.); karaimów 677, wyznawców Mahometa 1263. Podług stanów, ogólna ilość mieszkańców miasta dzieli się tak: szlachty—37,786, duchowieństwa—3,035, mieszczaństwa—241,270, kupców—10,559, włościan—121,663, obcych poddanych 7,542, oraz innych—28,837. Ogólna ilość ludności w gub. kijowskiej wynosi 4,432,534 (2,193,195

m. i 2,239,339 kobiet). W tem mieszkańcy miast stanowią 729,669 a ilość ludności wiejskiej równa się 3,702,866. Ludność miast powiatowych w gub. kijowskiej, wyrażona jest w następujących cyfrach: Berdyczów — 74,504, Czehryń — 14,608, Czerkasy — 38,878, Kaniów — 11,623, Lipowiec — 10,102, Radomyśl — 15,187, Skwira — 22,192, Humań — 40,548, Taraszczka — 15'337, Wasylków — 16,237, Zwinogródka — 19,457.

◆ ◆ ◆
+ Przed paru tygodniami odbyło się we Lwowie walne doroczne zgromadzenie członków tamtejszego Towarzystwa Historycznego.

Na schyłku ćwierćwiekowej działalności Tow. zaznacza sprawozdanie Wydziału, że instytucja, która zawsze wiernie służyła nauce ojczystej, mimo wydatnej pracy i poświęcenia wielu jednostek, nigdy nie doznała ze strony społeczeństwa odpowiedniego poparcia; dość zaznaczyć, że tylko czas krótki, bo w latach 1894—6 liczba członków przekroczyła nieznacznie cyfrę 300, by zaraz w roku 1897 spaść do cyfry 280, a liczba prenumeratorów „Kwartalnika historycznego” w latach tych nie mogła dojść do cyfry 100. Odtąd, od lat 13 liczba członków utrzymuje się włącz w tej samej mniej więcej wysokości, a wzrasta tylko cyfra prenumeratorów, która doszedłszy w r. 1899 do cyfry 200, wynosi odtąd stale 180—200. Tak więc za cały ten czas nie mogło Towarzystwo doliczyć się nawet 500 osób, któreby Towarzystwu użyczyły swego poparcia!

Po przyjęciu sprawozdania wybrano nowy wydział w składzie następującym: Prezes: Tadeusz Wojciechowski. Zastępca prezesa: Ludwik Kubala. Skarbnik: Wilhelm Rolny. Członkowie wydziału: E. Barwiński, W. Bruchnalski, A. Czołowski, B. Dembiński, X. J. Fijałek, L. Finkel, W. Łoziński, A. Winiarz. Skład komitetu redakcyjnego: redaktor: Aleksander Semkowicz, członkowie komitetu redakcyjnego: W. Abraham. S. Askenazy, J. Friedberg, B. Gubrynowicz, K. Hadaczek, A. Halban, B. Pawłowski, H. Sawczyński, W. Semkowicz, S. Zakrzewski. Komisya kontrolująca: J. Nogaj, S. Schneider, W. Towarnicki.

Tow. otrzymało z funduszu im. Jana Towarnickiego już parę rat z kwoty 7.000 koron, przeznaczonej na osobne wydawnictwo źródeł, odnoszących się do dziejów ziem ruskich, w szczególności zaś żywiołu polskiego w tych krajach. Spełniając wolę ofiarodawcy, postanowiono jako pierwszy tom wydać dzieło Bartosza Paprociego: „Panosza t. j. wystawienie panów i panią zlem

ruskich i podolskich”, treścią swą odpowiadające zupełnie intencji fundatora.

W końcu uchwalono w r. 1911-ym urządzić czwarty zjazd historyczny, połączony z obchodem 25-lecia Towarzystwa.



+ W pierwszych dniach lutego odbyło się w Toruniu zebranie doroczne członków Polskiego Towarzystwa Naukowego, jedynej naszej instytucji naukowo-kulturalnej w Prusach królewskich.

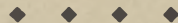
W ostatnich dwóch latach wzbogaciły się zbiory archeologiczne Towarzystwa wskutek ofiar i zainteresowania członków. Powiększył się również księgozbiór Towarzystwa. W *Zapiskach*, organie Towarzystwa, wydrukowano zestawienie zbiorów archeologicznych pióra ks. Chmieleckiego, które może zastąpić zawodowego przewodnika.

Odpsy źródeł rękopiśmiennych, dotychczas nie wydanych, pomnożyły się znowu dzięki skorej zawsze i wprawnej pomocy księży kleryków z seminarium w Pelplinie. Już obecnie korzystają z nich członkowie, którzy się badaniom specjalnym historii Prus Zachodnich oddają.

W r. 1909 liczyło Towarzystwo członków 582, mianowicie: honorowych 4, dożywotnich 6, zwyczajnych 582. Podług zawodów było księży 340, właścicieli ziemskich 99, lekarzy i aptekarzy 54, kupców i przemysłowców 47, literatów i uczonych 25, adwokatów 17. Według dzielnic przypadało: na Prusy Zachodnie, Wschodnie i Pomorze 527, na W. Ks. Poznańskie 26, na Galię 12, na Królestwo 5, na Śląsk 3, Monachium 1, Berlin 4, Westfalię 2, Amerykę Północną 2.

Dochody Tow. w r. z. wyniosły 4.315 marek, rozchody 3,282 m., pozostało zatem w kasie 1.032 m.

Na zebraniu wygłosił ksiądz Czaplewski odczyt na temat: „Biskupa Roźdrażewskiego reforma klasztorów pomorskich”. Ciekawa ta praca opisuje działalność biskupa Hieronima Roźdrażewskiego po objęciu dycezyi wrocławsko-pomorskiej nad reformą klasztorów pomorskich, przesiąkniętych luteranizmem, zrabowanych i wyludnionych w okresie reformacji. Niektóre w tej epoce zupełnie upadły (w Nowem, Tczewie, Gdańsku), w innych natomiast (Norbertanek w Żukowie, Cystersek w Żarnowcu, Cystersów w Oliwie, w Kartuzach, Cystersów w Pelplinie) gorliwe zabiegi biskupa odniosły pożądany skutek; życie i byt klasztorów zostały uporządkowane.



TREŚĆ: *E. Hanslik—L. Sawicki*—„Krainy przejściowe”; Dwory zamki i pałace—5 „Pałac w Podzamczu” (z 1 ilustr.); *Konrad Chmielewski*—„Pieśniarze Przyrody Polskiej” (c. d.); *Janina Rodyśówna*—„Wrażenia z wycieczki w Nowogródzkie”—dok. (z 6 ilustr.); *Juliusz Huret*—„Na wybrzeżach Bałtyku”—c. d. (tłum.); *Boruta*—„Gawędy Krajoznawcze. IV”. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Nowe książki. Z piśmiennictwa. Kronika Krajoznawcza.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował *Nikołaj Wisznicki*—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki—Składał i łąkał *Stefan Turobojski*—Odbijał na maszynie *Waleryan Szlicht*.—Kłisze wykonano w zakładzie *B. Wierzbickiego i S-ki*—Papier krajowy z fabryki *A. Moesa w Piliicy*.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć**.